

## Kalman Segal

### *Zesłanie*<sup>1</sup>

Wioska leżała pośrodku tajgi, na wysokiej górze. Za górą płynęła szeroka i głęboka rzeka. Latem, kiedy przybywały staromodne parowce z wygnańcami, środek rzeki kurczył się. Zimą, kiedy rzeka zamarzała, przywożono ich ciężarówkami. Wygnańcy są wrogami ludu...

Z wioski, która tak naprawdę nie była wioską, tylko miasteczkiem, widać było oddalony krajobraz. Góra wznosiła się w nieskończoność. Może aż do tamtego świata.

W środku tej wioski czy tego miasteczka – powiedzmy: w środku osady – stał wielki, drewniany barak jeszcze z czasów carskich. W tym baraku przebywali teraz uchodźcy z Polski, którzy uciekli ze swoich domów, żeby szukać schronienia w Związku Sowieckim. A ponieważ w Związku Sowieckim potrzebowano świeżych sił do wyrębu lasów syberyjskich i do pracy w kopalniach, zapisano ich i wciągnięto na listę wrogów ludu, przywieziono tutaj, rozproszono po lasach i obiecano, że kiedy wyrąbią wszystkie syberyjskie drzewa, wrócą do domu i ponownie będą wolnymi ludźmi.

Bardzo chorych i bardzo starych umieszczono w tym dużym baraku, gdzie mieli czekać na śmierć.

Kiedy nowo przybyli otwierali drzwi, uderzał ich ciężki smród, od którego prawie mdleli. Zastanawiali się: wejść do środka czy się wycofać? Ale nie było wyboru.

Gdy ostatni zamknął za sobą skrzypiące drzwi, znaleźli się w wielkim, długim baraku, w którym było bardzo zimno, chociaż dookoła budynku rósł gęsty las z tysiącami drzew, ale szybko okazało się, że wśród mieszkańców baraku nie było nikogo, kto miałby siłę, aby wziąć siekiere do ręki.

Przy ścianie stały prycze, na których siedzieli i leżeli ludzie owinięci lub przykryci szmatami. Inni szwendali się, łącząc z jednej strony na drugą jak widma – z owiniętymi głowami, w zacerowanych płaszczach zimowych, w podartych butach. Nie wszyscy mieli buty, wielu miało gołe stopy owinięte workami i obwiązane sznurkami albo drutem.

W ciężkim powietrzu i we mgle z pary, która wydostawała się z ludzkich ust, krzyżowały się słowa i zdania. Niektórzy krzyczeli, a może się kłócili i przeklinali. Tymczasem nowo przybyli jeszcze nie rozumieli, co tu się dzieje. Wszystkie słowa i dźwięki zlewały się w jeden ogłuszający hałas, który był podobny do buczenia potwornie wielkiego roju pszczół.

---

<sup>1</sup> Kalman Segal, *Farszikung*, w: tegoż, *Wu szmeterlingn szwebn*, Jeruzalaim 1981, s. 96-104.

Wszyscy mówili równocześnie. Wszyscy mówili prawdopodobnie o tym samym. Wszyscy wznosili ten sam lament. Wszyscy rzucali te same przekleństwa. Wszyscy czuli nadejście tego samego Anioła Śmierci. Cierpienie każdego, każda rana na ciele i każdy jęk czy głód były takie same, każdy trząsał się od tego samego zimna, ale przecież ból każdego był inny. I dla każdego: inna, nieunikniona śmierć.

Syberyjska zima – kto nie musi, niech jej nie doświadcza. Ile stopni może dzisiaj być? Kto to może wiedzieć? Może trzydzieści. Może czterdzieści. Przechodzący Rosjanin powiedział, że dzisiaj są pięćdziesiąt trzy stopnie mrozu. Nocą zamarza woda w kubkach.

Z zimna i głodu ludzie chorują na szkorbut. Co to szkorbut? Nigdy nie słyszałem o takiej chorobie. Ludziom wypadają zęby i włosy. Ciało gnije. Skóra pęka, robią się dziury, przez które wycieka ropa.

Rozprzestrzenia się dyzenteria. Skąd bierze się w ludzkich wnętrznościach tyle krwi? Z nowo przybyłego transportu wybrano wszystkich tych, którzy jeszcze potrafią utrzymać siekiere w rękach, i posłano ich do lasu. Starych i chorych pozostawiono. Tu będą siedzieć i czekać. Na co? Na to, na co czeka każdy stary człowiek, który nie ma już sił, by żyć?

Trzymajcie się, Żydzi! Może jeszcze coś się wydarzy? Czy ja wiem co? Może cud. Nie traćcie wiary. Może Bóg pomoże.

– Już wszystko straciłem. Nie wytrzymam. Nie przeżyję tej zimy – tak mówią zaraz po wielkiej podróży, która trwała dwa miesiące i dziesięć dni. Tak mówią po kilku tygodniach. Co będą mówić po paru miesiącach?

– Już wiele dni nie schodziłem z posłania. Moje nogi – czy chcecie zobaczyć moje nogi? – są cienkie jak patyczki. Całe ciało jest opuchnięte, a nogi są cienkie jak zapałki. Nie chcecie na mnie patrzeć. Rozumiem to: moja twarz jest twarzą martwego człowieka, którego skóra nie gnije, tylko staje się sucha, nie mam już skóry, nie mam twarzy, ludzie odwracają się ode mnie, odsuwają się, by mnie nie widzieć, ludzie boją się mnie, ponieważ jestem odrażający. Wiem o tym, ale jestem jeszcze młody, chcę żyć, więc wyciągam ręce ku temu staremu Żydowi – on ma dużo pieniędzy i każdego dnia kupuje połówkę małego chleba od jednego Rosjanina, który pracuje w piekarni – i błagam go o okruszynę; wyciągam ku niemu moje brudne, czarne ręce – tak długo już się nie myślę, tu jest mało wody, a mnie jest zimno i dlatego nie mam już siły, aby przynieść sobie odrobinę śniegu do roztopienia. Dzisiaj rano chyba umrę – leżę tak i czekam, i płaczę, wszystko we mnie płacze. Na co czekam? I dlaczego płaczę? Z głodu? Może płaczę dlatego, że chcę żyć. Może dlatego, że nie mogę zapomnieć. Kiedyś miałem matkę, która tak bardzo mnie kochała. I ja ją kochałem. Kochałem moja mamę i kochałem życie. Byłem szczęśliwy. Ach, jaki byłem wówczas szczęśliwy! Mama mawiała, że jestem najpiękniejszych

chłopcem w miasteczku. Swatano mnie. Dziś nikt nie chce mi pomóc. Nikt nie chce mi podgrzać kubeczka wody. I jest mi tak zimno. Dlaczego wszyscy ode mnie uciekają? Przecież ja też jestem Żydem! Mój dziadek był *dajanem*<sup>2</sup> w miasteczku! A ja mam takie ładne imię: Mejlech<sup>3</sup>...

Starszy mężczyzna, który posiada dużo pieniędzy i każdego dnia kupuje sobie połowę chleba, nie ma zębów. Gołymi dżiśłami żuje kromkę, można rzec – przeżuwa i ssie ten kawałek chleba jak cukierek. Sąsiedzi zerkają na niego nie bez zazdrości, a on patrzy na nich ze złością.

Jest tu też jeden polski szlachcic. Czarne dumnie podwinięte wąsy, inteligentny wyraz twarzy, ostre spojrzenie. Na głowie staromodny kapelusz z pawim piórkiem. Czarna peleryna. Kiedyś taką pelerynę nosili artyści – członkowie cyganerii. Nikt nie wie, kim kiedyś był ten człowiek, zresztą to nieważne – przecież kapelusz z piórkiem i czarna peleryna mogą być skradzione, a szlachcic w ogóle może nie być szlachcicem. Nikt także nie wie, dokąd każdego wieczora wychodzi z baraku. Nie bacząc na trzaskający mróz, opuszcza barak i znika w ciemnej nocy. Kiedy wraca, przynosząc ze sobą dwa–trzy kawałeczki drewna, staje przy żelaznym piecu i bierze się za gotowanie. Pilnuje, aby kubek był przykryty i aby nikt nie zobaczył, co sobie tam gotuje. Ale obserwuje go zbyt wiele par oczu, żeby sekret pozostał sekretem.

Rosjanie z sąsiedztwa narzekają i przeklinają na czym świat stoi – oby te przekleństwa spadły na ich głowy – bo od pewnego czasu znikają u nich koty. Gdzie podziewają się koty? Mężczyzna w pelerynie siedzi na swojej pryczy w półmroku z twarzą zwróconą ku ścianie i obgryza ugotowane mięso z chudych kostek. Myśli sobie: może uda mi się opuścić ten barak żywym?

– Nie wiem, czy dożyję. Robaki pożerają mnie żywcem. Nie mam już kropli krwi w żyłach, więc czym one się żywią?

– Uspokójcie się, ludzie! Głód się wkrótce skończy. Wkrótce będzie co jeść. Będzie co jeść i pić. Przyszedł list z Ameryki, tamtejsi Żydzi już o nas wiedzą, wiedzą już, gdzie jesteśmy, i nie opuszczą nas.

I rzeczywiście, nie opuszczono ich. Po pół roku przybył transport z podarkami dla zesłanych na Syberię. Towary przywieziono saniami, które jechały po zamarznętej tafli wielkiej i głębokiej rzeki. W workach i skrzyniach znajdowały się puszki z jajkami w proszku, prawdziwy amerykański papier toaletowy i skórzane klocuszki, to znaczy obcasy do butów. Jajka w proszku były bardzo smaczne, papier też się bardzo przydał, szczególnie tym, którzy

---

<sup>2</sup> Dajan (hebr.) – w judaizmie sędzia zasiadający w sądzie religijnym.

<sup>3</sup> Król (hebr.)

chorowali na dyzenterię, jedynie obcasów nie było do czego przybić, bo nikt tu nie chadzał w butach, tylko w szmatach.

Ludzkie nieszczęście jest wielkie jak ocean. Ludzkie nieszczęście sięga nieba.

Ten Żyd ma dwóch synów. Obaj mają wykręcone nogi. Prawa noga jest wywinięta na lewo, a lewa na prawo. Gdy stoją albo siedzą, ich nogi drżą, jakby do każdej z nich docierały inne, nieskoordynowane impulsy. Oni też byli wrogami ludu, bo nie chcieli – tak jak wszyscy tutaj – przyjąć sowieckiego obywatelstwa. Wrogami ludu są tu także szaleńcy, niemi albo sparaliżowani. Czy to nie dziwne?

– Ja? Pan się pyta, kim jestem? Więc przede wszystkim nie powinien mnie pan utożsamiać z tą bandą żebraków. To są ludzie gorszego sortu. Prymitywni ludzie. Nienawidzę ich razem z ich wszami, które już przelazły także na mnie oraz na moją żonę. Jestem intelektualistą. Mam dwa doktoraty oraz ugruntowane moralne i polityczne poglądy na temat świata i ludzkości. Generalnie można powiedzieć, że jestem człowiekiem spokojnym, opanowanym. A oto moja żona – kobieta o subtelnej duszy, która kiedyś była wielką pięknoscią, a którą kocham również i dziś. Ale odkąd nas tu przywieźli, wstąpił we mnie demon. Stałem się nerwowy. Sam siebie nie poznaję. W pół roku stałem się siwy. I zrobiłem się... nie, trudno mi o tym mówić. Kiedy widzę, jak moja żona je kęs chleba z tego, który wspólnie otrzymujemy, to za każdym razem wydaje mi się, że ona ma więcej, że jej więcej przypada w udziale. I przeklinam ją. Przeklinam ją i nie wstydę się tego przed ludźmi tutaj, w baraku. Pewnego dnia, nie bacząc na to, że wszyscy będą na mnie patrzeć, wyrwę jej ten kawałek chleba z ust. Już nie jestem człowiekiem. Stałem się dzikim zwierzęciem. Jestem jeszcze gorszy od nich wszystkich tutaj – a jestem przecież intelektualistą z dwoma doktoratami. Ale nie jestem winny! Nie jestem winny! On jest winny, ten wielki morderca z wąsami! On jest winny! Zrobił ze mnie szmatę!

Ludzie pogardzają tu intelektualistą z dwoma doktoratami. On do nich nie przynależy. Podwójny, dumny i wiecznie głodny doktor. Przecież głodni są tu wszyscy, ale nikt nie wyrwa kęsów z ust żony.

Jeszcze jeden zwariował. Nikt nie wiedział, jak on się nazywa i kim jest, a on przeciął sobie żyły i umierał długie godziny. Skąd wiadomo, że oszalał? Tak naprawdę to nie wiadomo.

Raz dziennie przynoszą kociołek zupy z buraków. Nie ma w niej buraków i nie jest to zupa. Ale to był ciepły posiłek i podawano go z kawałkiem chleba.

– Co byś zjadł, gdybyś był cesarzem? Albo gdybyś był Stalinem? Ja codziennie zjadałbym na śniadanie całe wiadro kartofli – ugotowałbym je w mundurkach, w skórce są

smaczniejsze. A co potem? Dwa, trzy bochenki chleba. A na obiad? To samo. A na kolacje? To samo.

– A ty?

– Ja?

– Tak, ty.

– Och, gdybym był cesarzem, jadałbym tylko wykwintne potrawy. Takie, jakie jada towarzysz Stalin. Troszeczkę, ale dobrze. No, to posłuchajmy. Rano kazałbym ugotować wołu. Całego, wielkiego i grubego wołu. Takiego wołu należy gotować w wielkim kotle. I gotuje się go tak długo, aż z całego wołu pozostanie jedna szklanka bulionu. I ten bulion wypiłbym na śniadanie. A na obiad? Znowu szklaneczka bulionu. Z tego samego wołu? Broń Boże! Na obiad z drugiego wołu. A na kolację też to samo? Nie, na kolację butelka gorzały. Towarzysz Stalin też tak robi. Następnie zabiera się za przeglądanie listy wszystkich wrogów ludu w całej Rosji. Przy każdym nazwisku robi znak i zapisuje datę, kiedy mają nieszczęśnika rozstrzelać.

– Oj, głupcy, głupcy! Byłem już w wielu miejscach na świecie i jeszcze nigdzie nie widziałem tak wielu głupców w jednym miejscu jak w tym baraku. Każdy z was wmawia sobie, że dożyje. Czego dożyje? Przyszłego świata? Przecież już jesteście na tamtym świecie. Czy przyszło wam kiedyś do głowy, że na tamtym świecie jest tak zimno?

– Nie jest tak. My jeszcze nie jesteśmy na tamtym świecie. Jesteśmy dopiero na Syberii. Po śmierci nastanie gorące piekło. A ten z farbowanymi wąsami już się postara, abyśmy nie byli tutaj długo. On już się *pastarajet*<sup>4</sup>, bo na ten barak czekają już nowi wrogowie ludu, też chcą tu przybyć na jakiś czas przed śmiercią. Bo czy można wyżyć z trzydziestu dekagramów chleba na dzień i miseczki zupy z buraków bez buraków?

– Nigdy nie byłem doktorem i nie lubiłem patrzeć na chorych ludzi. Ale dziś jestem starcem i ledwo powłóczę nogami. Wiem, że tu będę czekać na Mesjasza, jeśli Mesjasz zdoła kiedyś tu dotrzeć przez te wszystkie lasy i góry, i głębokie rzeki. Siedzę w kącie i milcząc, patrzę na wszystkich tutaj, i w tym patrzeniu doszedłem do takiej wprawy, że mogę wam już dziś przepowiedzieć, kto z nich umrze jutro, kto za miesiąc albo za dwa. Kiedy przyszli pół roku temu, byli jeszcze normalnymi ludźmi. Ludźmi takimi jak wszyscy. Jeszcze żyli nadzieją, jeszcze na coś czekali. Jeszcze o czymś marzyli.

– Aż pewnego dnia zaczęli wysychać, jakby podczas jednej nocy ktoś wyssał z nich całą krew. Następnie zaczęli płakać. Siedzą na pryczy i płaczą. Pytam ich, o co ten płacz, co ich boli? Nie wiedzą. Może litują się sami nad sobą, a może jeden lituje się nad drugim. Oni, ci

---

<sup>4</sup> Postara się (ros.)

płaczący, już są gotowi. Umierają jak muchy. Robią to cicho, bez piśnięcia. Część z nich jeszcze przed śmiercią puchnie – to są ci, którzy pijąc dużo wody, próbowali uciszyć głód. Umierają, a my wynosimy ich do komórki, gdzie leżą sobie kilka dni i czekają, a kiedy nie ma już tam więcej miejsca, wnosi się ich na wzgórze. Trudno wykopać dla każdego trupa osobny grób, ziemia jest zamrznięta i twarda. A tu, w komórce, zmarły może leżeć nawet cały miesiąc. Sztywnieje na mrozie, ale nie psuje się i nie ucieka.

– A ja jestem na Syberii już drugi raz. Pierwszy raz byłem jeszcze przed pierwszą wojną światową. Wtedy byłem przeciwnikiem cara. A dziś? Czy ja wiem? Dziś jestem wrogiem ludu. Tak mówią. A jak było wtedy, za cara? Było co pić i co jeść. Były królewskie szaty. Tu był raj. Wtedy było lepiej na zesłaniu niż teraz na Kremlu.

Komórka ponownie szybko zapełnia się trupami. Większość z nich to starcy. Uciekinierzy z Polski. Nie chcieli przyjąć sowieckiego obywatelstwa. Polscy wrogowie ludu. Polscy Żydzi. I żydowscy wrogowie ludu.

Rosjanie z piekarni sprzedają skradzione chleby. Sto rubli za bochenek. Skąd wziąć sto rubli?

W sąsiedztwie baraku, w którym mieszkają starcy i chorzy, zniknęły już wszystkie koty.

W niektórych miejscach w miasteczku wiszą wielkie portrety towarzysza Stalina. Wisi i uśmiecha się ironicznie. Rozejrzyjcie się dobrze, zanim coś mu powiecie. Trzeba być ostrożnym.

*Tłumaczenie z jidysz: Aleksandra Konior*